

TEMATY PRZYGODNE

PERIODYK NATOLIŃSKI

bezpłatnie

Nr 2 (2) rok I lato 2025

Echo redakcji

Z wielkim bólem przyjąłem wiadomość o śmierci naszej redakcyjnej koleżanki Heleny. W numerze poświęciłem jej stosowny tekst pożegnalny oraz przypomnienie jej osoby i docenienie niezwykle owocnej współpracy. Ale życie toczy się dalej i już bez jej udziału przygotowaliśmy kolejną odsłonę Tematów Przygodnych. Żałuję, że Helena już nie dzieli z nami trudów pracy edytorskiej, żałuję bardzo.

Wśród tematów przygodnych, być może już na stałe, zagościł temat ekonomiczny, napisany przez fachowca, ale w sposób, który mnie zupełnie wystarczył dla pełnego zrozumienia zawartych w nim myśli. Wszystko zrozumiałem, chociaż w dziedzinie ekonomicznej jestem raczej ignorantem. Polecam jego przeczytanie a pojęcie „rezerwy walutowe” stanie się jasne jak słońce. Polecam także przeczytanie pozostałych tekstów, które jak zwykle powstały na gruncie refleksyjnym, a przypominę, że refleksja przychodzi po przemyśleniu wydarzenia, po zobaczeniu czy przeżyciu czegośkolwiek, co miało znaczenie, jak po dobrej lekturze, albo po filmie o głębszej wymowie, lub też po wysłuchaniu koncertu. Tyle refleksji, ile pozwolimy sobie, ile poświęcimy czasu na ucztę duchową, tyle naszej korzyści i rozwoju, po prostu satysfakcji.

Lato, od dawna wyczekiwane ciepło, wreszcie nadchodzi, żeby tylko nie powtórzyły się upały z kilku ostatnich



lat, bo znów przyjdzie tęsknić za zimą w lecie. Ach, ta nieznośna pogoda, ta kapryśna aura, która nie może się jakoś wypośredkować. Wegetacja mocno przyspieszyła, niektóre rośliny zbyt wcześnie osiągnęły pełny rozkwit, aż boję się czy starczy uroków przyrody na jesień. Chociaż opady dopisują, więc roślinność ma się czym żywić, więc jednak liczę na feerię barw w czasie polskiej złotej jesieni, żeby liście za wcześnie nie opadły.

Jako ilustracje rozkwitu zieleni niech posłużą zamieszczone zdjęcia wykonane w ostatnim dniu maja w okolicach Lasu Kabackiego. Zielono mi! /red. nac./



CODA

Helena.

(Sierpień 1944 – marzec 2025)

Helena Laskowska – urodzona w 1944 w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego, odeszła od nas 27 marca 2025 roku. Jej organizm nie poddał nawrotowi choroby, mimo iż walczyła o przedłużenie życia wierząc w postęp medycyny. Chciała jeszcze dużo zobaczyć, lubiła krajobraz i architekturę, była częstym gościem muzeów i galerii. Chciała jeszcze usłyszeć wiele pięknych wykonanych jej ulubionych kompozytorów, zwłaszcza Mozarta, miała karnet do filharmonii. Była rozmówczyna w czytaniu biograficznych powieści. Realnie patrzyła na nasz kraj, nigdy nie pogodziła się z prymitywną polityką. Była skromna, cicha, ufna, tolerancyjna i nad wyraz kulturalna, szanowała każdego człowieka, choć na swój użytek rozróżniała w ludziach ich zalety i wady, miała zdolność do delikatnej asertywności wobec osób natarczywych, cwanych i próżnych. Unikała jałowych, nie wnoszących do jej świata wewnętrznego znajomości, ale bez okazywania pogardy, bardzo tę postawę w niej ceniłem. Często widywaliśmy się, żeby choć kilka słów zamienić, żeby podzielić się refleksjami na temat codzienności, lubiliśmy książki, więc tematów nam nie brakowało. Współpracowaliśmy przy redagowaniu „Życia Seniora”, mieliśmy naszą współpracę kontynuować przy „Tematach Przygodnych”, niestety nie udało się, czego bardzo żałuję, bo Helena była jedyną redaktorką i sekretarzem redakcji jednocześnie, która wносиła do tego naszego „kółka wydawniczego” iskrę profesjonalizmu i doświadczenia. Wszak przez lata, będąc dziennikarką po polonistyce, umiała zgrabnie sztorcować nas za wciąż popełniane błędy, ale nigdy nie chciała z redakcji odejść, a nam powtarzała: ćwiczenie czyni mistrza i zachęcała pozytywnym nastrojem do dalszej pracy. Razem wydaliśmy sto numerów naszego wciąż ewoluującego dzięki niej pisma. Bardzo mi Heleno Ciebie brakuje, coś począć bez twojej przyjaźni, serdeczności i uśmiechu. Spoczywaj w spokoju przyjaciółko. Janusz.

Helena Laskowska – rocznik 1944. Absolwentka Wydziału Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Dziennikarka, redaktorka współpracująca z pismami o tematyce kobiecej, rodzinnej i zdrowotnej. Miłośniczka muzyki poważnej. Stała bywalczyni teatrów warszawskich, spektakli operowych i baletowych. Wytrwała czytelniczka każdej dobrej literatury. Niepoprawna optymistka z poczuciem humoru, otwarta na kontakty z ludźmi. *(Helena o sobie)*



(Ja o Helenie) Z Heleną bardzo lubię rozmawiać o życiu codziennym na tle wydarzeń społecznych i politycznych. Nie omijamy nigdy tematów o literaturze, gdyż nasze gusta czytelnicze, z pozoru tylko odmienne, są niezwykle zążębione. Polecamy sobie tytuły, autorów i dyskutujemy. Helena jest dla mnie jak „wiadomości kulturalne”, tyle tylko że są one pozamedialne. Zdobywa je na przykład na festiwalach muzycznych czy teatralnych, które uwielbia, na które czeka z roku na rok. W roku 2020, z powodu pandemii, była wielce niepokieszona, a być może i w tym, czeka ją rozczarowanie. Na szczęście książki ukazują się normalnie, więc głód lektury można zaspokoić. Niekiedy w jej opowieściach o nowych wydarzeniach kulturalnych wyczuwam jakby nutę lekkiej egzaltacji, lecz proszę mi wierzyć, że jest to tylko kobieca radość z odniesionego sukcesu: że starczyło na bilet i, że w ogóle udało się go dostać, że inscenizacja była wspólna, że solista, kwartet albo orkiestra zagrali rewelacyjnie, że balet włącza do środków wyrazu nowe elementy ruchu spoza uznanych schematów mistrzowskich, ale jednak schematów znanych z największych interpretacji w skali światowej. Dla fanki dramatów scenicznych i koncertów filharmonicznych, każde mistrzowskie inscenizacje i wykonania oddziałują na zmysły niczym narkotyk, dlatego są czystą radością, czasem podniesioną do wysokiego C, które osiąga się wyrobieniem, nie egzaltacją. Egzaltowanie się jest dla wchodzących dopiero w krąg odbiorców dzieł, którym patronują greckie Muzy z właściwymi atrybutami.

Helena jest skromna, w swoim tekście zamieszczonym poniżej zaledwie wspomina o współpracy redakcyjnej, dlatego ja-redaktor naczelny, mając okazję publiczną, chcę powiedzieć, że bez jej udziału gazety „Życie Seniora” i „60 Okay” tworzone przez ursynowskich seniorów nie byłyby taką samą publikacją. Muszę także docenić, ba, uznać za niezbędną dla projektu „My z Wyżyn” jej obecność w pracach redakcji i dzieleniu się swoim doświadczeniem zawodowym. Wielkie dzięki Redaktorko!

Helena. Cenię sobie spotkania

Tekst napisany 15 stycznia 2021 r. dla „My z Wyżyn”.
(Natolin – miłość od pierwszego wejrzenia)

Zima 2004 roku. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam Natolin. Na Ursynowie bywałam wcześniej, bo tu mieszkali moi znajomi. Ale Natolin odkryłam, gdy zaczęłam załatwiać formalności związane z kupnem mieszkania. Już wówczas spodobała mi się zabudowa, na ogół niezbyt wysoka. Wtedy jednak Natolin nie odkrył mi jeszcze wszystkich swoich uroków. To dopiero czekało mnie, gdy na wiosnę wprowadziłam się do swojego mieszkania...

Całe wcześniejsze życie mieszkałam w Śródmieściu. Losy mojej rodziny są jednak ściśle związane z inną bardzo warszawską dzielnicą, z Powiślem. Tam, w kościele św. Teresy przy ul. Tamka w 1939 r. wzięli ślub moi rodzice i zamieszkali w domu kilka przecznic dalej, przy ul. Sollec 58. Mimo tragizmu wojny i okupacyjnej rzeczywistości przeżywali pierwsze radości związane z narodzinami i wychowywaniem pierworodnego syna. Z narodzinami mojego brata wiąże się zresztą zabawna anegdota. Mój ojciec, w przeciwieństwie do większości panów, pragnął narodzin córki. Gdy po przewiezieniu żony do szpitala następnego dnia zadzwonił na porodówkę, by się dowiedzieć, czy już nastąpiło rozwiązanie, pielęgniarka go poinformowała:

- Żona urodziła syna, może się pan czuć szczęśliwy. – To jakaś pomyłka – odpowiedział ojciec. – Moja żona miała urodzić córkę. Proszę jeszcze raz sprawdzić.

Gdy urodziła mu się córka, nie było go przy tym. Na niedługo przed wybuchem powstania warszawskiego został zatrzymany w jednej z ulicznych łapanek i wywieziony do pracy w kamieniołomach w Rzeszy. Mama z czteroletnim synem i w zaawansowanej ciąży została sama. Tak doczekała 1 sierpnia. Pierwsze walki powstańców, Powiśle coraz bardziej ogarnięte ogniem. Ludność cywilna skazana na siebie. Tylko dzięki ofiarności sąsiadów, wzajemnej pomocy można było jakoś przeżyć. 11 sierpnia, w czasie największych walk, rodzącą kobietę ułożono w piwnicy na prowizorycznym posłaniu.

Na Solcu wciąż powstańcze piekło. Bomba trafia w kamienicę, gdzie moja mama rodzi mnie. Natychmiast akcję odkopywania gruzów organizuje porucznik Zbyszek, który w niedługim czasie sam ginie. Ale jego pamięć żyje w mojej rodzinie do dziś, mimo że moi rodzice od wielu lat już razem z nim przechadzają się po pastwiskach niebieskich. Bo to on odnalazł i przyprowadził do zbombardowanego domu akuszerkę. Dzięki nim, bohaterskim powstańcom, moja matka i ja przeżyliśmy. I dzięki sąsiadom. To oni wspierali młodą matkę z dwójką dzieci, pomagali przetrwać, a potem wspólnie znieść koszmar wypędzenia z miasta i długiej wędrówki do podwarszawskiej miejscowości, gdzie znaleźli schronienie do końca wojny. A potem odnalezienie ojca, próba ułożenia sobie życia z dala od zburzonego miasta w Płocku i ponowny powrót w 1947 roku do Warszawy, na ukożane Powiśle.

Na Solcu nie było jednak już ich domu, więc kilka ulic dalej, na Kopernika, własnymi siłami wyremontowali mieszkanie i założyli nowe gniazdo. Ale troje dzieci, bo najmłodsze urodziło się kilka lat po wojnie, nauki pobierało na Powiślu, w szkole na ul. Drewnianej. A gdy wcho-

dziłam już w dorosłe życie, studia rozpoczęłam na Uniwersytecie Warszawskim, uczelni, którą kojarzy się ze Śródmieściem. Warto jednak przypomnieć, że okazały Pałac Kazimierzowski i mój ukochany gmach Polonistyki z wdziękiem opierają się o skarpe, schodzącą na powiślański park.

Czasy studenckie pracowicie i wesoło spędzałam na Uniwersytecie Warszawskim. Życie zawodowe też było związane z centrum miasta. Gwar, hałas, tempo... To mi odpowiadało. Wszędzie miałam blisko: miejsca pracy, kina, teatry, restauracje.

Aż przyszła jesień życia, trzeba było zwolnić tempo. Kręgosłup dokuczał, gdy kilka razy dziennie należało pokonać sto dwadzieścia stopni schodów, żeby dotrzeć do mieszkania na czwartym piętrze, bo stara kamienica nie miała windy. Czas pomyśleć o zmianie miejsca zamieszkania.

I tak trafiłam do Natolina. Od kwietnia 2004 roku stałam się mieszkanką Osiedla Wyżyny. I zakochałam się w swoim osiedlu. Niskie budynki otoczone urokliwymi ogródkami. Bardzo wymyślnymi, z małymi fontannami, ogródkami skalnymi, kolorowymi kwiatami. I przede wszystkim Sadek. To on na wiosnę owego roku „powalił mnie na kolana”. Pewnego ranka w maju idąc do stacji metra oniemiałam z zachwytem. Szłam aleją po obu stronach otoczoną kwitnącymi jabłoniami. Nagle przeniosłam się do świata z lektury „Ani z Zielonego Wzgórza”. To jak z kart tej książki Aleja Zakochanych z obsypanymi kwiatami drzewami, przypominającymi panny młode. Zieleń, biel z delikatnymi różowymi akcentami i ten zapach.

I tak bez ostrzeżenia, w środku miasta dopadła mnie wiosna. Dotychczas o zmianie pór roku głównie „informowała” mnie temperatura, krótsze lub dłuższe dni, szarugi jesienne, opady deszczu lub śniegu. Ale kolory drzew i krzewów w zależności od pory roku w moim poprzednim wcieleniu gdzieś mi umykały. Wiadomo, centrum to kamienna pustynia. Od czasu do czasu robiłam jakieś wypadki na łono przyrody, niekiedy, gdy starczyło czasu, pospacerowałam po Łazienkach lub Ogrodzie Saskim i to wszystko. A teraz... proszę bardzo: wiosna, lato, jesień, zima jest tuż obok mnie. Sadek, Aleja Kasztanowa, Las Kabacki. Bujna, soczysta zieleń wiosną, feeria kolorów i zapachów latem, żółć, brąz i czerwień liści jesienią, zimą czysta biel śniegu między drzewami w Sadku.

Natolin urzeka. Zachwyca mnie wszystko. Ludzie, architektura, infrastruktura. Tuż za miedzą, po drugiej stronie ulicy Przy Bażantarni, są Kabaty. Chętnie przechadzam się po tamtejszych uliczkach, często przypominających urokliwe uliczki małych miast włoskich. To prawda, że domy są ładne, ale zabudowa jest bardzo ciasna. Chyba nie chciałabym tam mieszkać. Wciąż miałabym wrażenie, że sąsiedzi z budynków po drugiej stronie ulicy zaglądają do moich okien. Brrrr... A Natolin ma oddech. I spokój. Czasami wydaje mi się, że mieszkam na wsi, gdzie niekiedy przejedzie jakiś samochód. W moim poprzednim życiu okna z mojego pokoju wychodziły na Tamkę. Nieustający szum samochodów, smród spalin i w dzień, i w nocy. Wówczas mi to nie przeszkadzało. A teraz... lubię pojechać sobie na Nowy Świat, Krakowskie

Przedmieście, obejrzeć wystawy, wypić kawę w którejś z licznych kawiarenek. I wrócić do siebie, do swojego domu. Gdy wiele lat temu przeprowadzałam się do nowego mieszkania, mój redakcyjny kolega martwił się, jak ja sobie poradzę, przecież to jak wyrwanie drzewa z korzeniami. A po tygodniu nie mógł się nadziwić, że na pytanie, jak sobie radzę na nowym miejscu, odpowiedziałam: znakomicie, tu znalazłam swoje miejsce na Ziemi. Bo to już tak jest. W różnych okresach naszego życia czego innego od niego oczekujemy. W młodości, dojrzałym okresie pęd nam nie przeszkadza, wręcz przeciwnie, to nam daje napęd do osiągania coraz to większych sukcesów. Ale gdy aktywność zawodowa się zmniejsza, dzieci już tak

bardzo nas nie potrzebują, cenimy sobie spokój i wyciszenie. I umiemy docenić piękno wokół nas i naszego najbliższego otoczenia.

Ja jeszcze miałam do tego szczęścia spotkać ciekawych ludzi. Tu nawiązałam nowe znajomości i zawiązałam serdeczne przyjaźnie. Mogłam też wykorzystywać swoje dziennikarskie i redaktorskie doświadczenie we współpracy z pismami wydawanymi przy Natolińskim Ośrodku Kultury. Tu czuję się u siebie, gdy robię zakupy, spotykam znajomych z naszego Klubu „Wrzos”, sąsiadów, z przyjaciółmi spotykam się w ulubionej kawiarni „Le petit café”. Tak, z pełnym przekonaniem mogę powtórzyć: tu znalazłam swoje miejsce na Ziemi.

Targi Książki. Święto czytelników, autorów i wydawców

Tegoroczny maj, tradycyjny miesiąc Międzynarodowych Targów Książki w Warszawie, nie był zbyt łaskawy dla licznej publiki czytelniczej, bowiem był zimny, deszczowy i wietrzny, co jak wiadomo zagraża przedmiotom papierowym oraz składaniu autografów przez staromodnych i eleganckich autorów swoim wiernym czytelnikom używających w tym celu piór wiecznych. Wiatr zaciągający krople deszczu pod parasole ogrodowe, czynił fochy z atramentem z tychże piór na pierwszej stronie książki, zaraz za okładką, tej do składania autografów przeznaczonej. Na różne drobnostki zwraca się uwagę, ja dostrzegłem pośród wielu, także ten kłopot z inkaustem (z flamastrami i długopisami żelowymi też), czyli rozmazane dedykacje. Taka drobna niezręczność... dla obu stron zresztą.

Które to już targi w Warszawie (czwartek 15 – niedziela 18 maja 2025)? Nie umiem policzyć, ale od dekad bywam na tym wydarzeniu i nigdy nie wróciłem z pustymi rękoma do domu. W tym roku kupiłem trzy pozycje. W stoisku Wydawnictwa Czarne nabyłem książkę laureatki Nagrody Nobla w dziedzinie literatury, francuskiej pisarki Annie Ernaux „Świat zewnętrzny” oraz z serii Opowiadania amerykańskie „Asortyment strapień” Lydii Davies. Natomiast w Wydawnictwie Wielka Litera kupiłem, przed oficjalną datą premiery, książkę Pawła Potoczyna zatytułowaną „każdy, kiedyś” (pisane z małej litery), która jest zamykającą trylogię po „Ludzkiej rzeczy” i „a to było tak”, w której niczym w krzywym zwierciadle możemy przyjrzeć się naszej ojczyźnie i naszym rodakom, i nam samym (przecież każdy, kiedyś), licząc od drugiej wojny do dzisiaj. Lektura tej trylogii bywa gorzka, bywa też szyderczo prześmiewcza, bywa refleksyjna i zabawna zarazem. Zachęcam do lektury i pobycia przez te trzy tomy z bohaterami z wymagowanego Piórkowa, wsi komicznej, tyleż absurdałnej, co i rzeczywistej, i nie-



stety wiem to już nawet z literatury, że ...Piórkowów w Polsce jest wiele, bo sami bohaterowie mówią o nim: „U nas w Piórkowie nie ma dyskusji, od razu tumult i udry”. Udało mi się przez dłuższą chwilę porozmawiać z autorem, odbyliśmy interesującą rozmowę o kondycji Polski prowincjonalnej i co ciekawe, nie musieliśmy przy tym używać argumentów politycznych, żadnej opcji nie obarczaliśmy winą za status quo życia prowincjonalnego, nikomu nie przypieiliśmy żadnej łatki. A przecież można było, gdyż autor to jedna z pierwszych ofiar czystki w sfe-



rze kultury za rządów „nowej elity”. Nasza rozmowa szła innym torem, na którym literatura, obserwacje życia społecznego i wyrażanie ich literacką refleksją były istotą dialogu, za co jestem autorowi wdzięczny. Myślę, że pan Paweł Potoroczyn również docenił moją postawę, było mi bardzo miło ucisnąć wzajemnie dłonie i usłyszeć na koniec, że „należę do typu ulubionych czytelników pisarzy”. Mam nadzieję, że za moje słowa, za wyrażone refleksje a nie za fakt zakupu książki to zdanie usłyszałem.

Targi Książki to także szereg wydarzeń towarzyszących, wzbogacających to coroczne święto autorów, czytelników i wydawców o spotkania, warsztaty, panele dyskusyjne, strefy autografów, sceny tematyczne, czy dni Gościa Honorowego, którym w tym roku była Republika Korei i jej literatura. I tak. Spotkań autorskich, czytam według oficjalnego programu, było około sześciuset, wystawców było w strefie pod dachem pałacu dwustu i ponad setka na zewnątrz pod namiotami, były strefy warsztatowe, w tym w Muzeum Sztuki Nowoczesnej, było piętnaście stref autografów (nie licząc tych przy mniejszych stoiskach), była scena nauki, scena komiksowa i wystawa komiksowa. O kioskach ze słodyczami oraz fast foodami nie trzeba wspominać, ale wspominałem.

Niestety, nie sprzyjała pogoda, zwłaszcza sobotnia aura dawała się we znaki, deszcz i zimny wiatr odebrał zapewne chęć udziału w targach wielu osobom. Kapryśny ten maj okazuje się być. Jednak dla prawdziwych miłośników czytania (czytaj: wejścia w świat wyobraźni), żadna pogoda nie jest straszna. Liczy się wydarzenie, jego klimat i poczucie przynależności do wspólnoty osób czytających więcej niż normy przeciętności nakazują.

O książkach, które zakupiłem na targach, napiszę do następnego numeru Tematów. Muszę je po prostu przeczytać, przemyśleć i poczekać na głębszą refleksję, żeby nie skleić banału, wszak szanuję czytelników. Spodziewam się wewnętrznego niepokoju, poruszenia treścią i liczę, ba jestem pewien, że będę mógł wyrazić uznanie dla oryginalnej, ciekawej, głębokiej docieklivosti postrzegania świata i kunsztu pisarskiego autorek. O ile znam już trzy wcześniej wydane książki Annie Ernaux, o tyle twórczości Lydii Davies jeszcze nie miałem przyjemności posmakować, ale trzeba przyznać, że tytuł tego zbioru opowiadań wydaje się intrygujący (i zachęcający do przeczytania) – wiele sobie po lekturze obiecuję. /jo/

Echomyśli czytelnicze

"Wielu ma rywalów książka w naszych czasach - i przez to właśnie może staje się niemodna. Radio, telewizja, kino - lwią część zabrały te wynalazki z uroku książki! Jednej rzeczy nie mogą zabrać: jej ciszy, jej milczenia. Milczenie książki jest tym elementem, który na nas najwyraźniej działa. Milczenie to - to czara, którą możemy napełnić własną treścią, własną wyobraźnią.

Kino, telewizja narzucają nam obraz, nie pozwalają go uzupełnić na swój sposób. Książka utwierdza naszą indywidualność, wybrania naszą osobowość przed atakiem wszystkiego, co brutalne, napastliwe w naszej dzisiejszej kulturze."

Jarosław Iwaszkiewicz



Dlaczego rezerwy walutowe są ważne?

Redakcja zachęciła mnie do pisania o sprawach ekonomicznych. Doceniam wagę tej problematyki, a także jak najlepsze intencje animatorów (redaktorów) tego pisma. Z drugiej strony widzę dużo przeszkód w podjęciu się takiego zadania. Można by dowodzić, że łamy takiego pisma są większym wyzwaniem niż jakiegos fachowego ekonomicznego magazynu. Krótka forma, rzadki cykl, mało miejsca. W dodatku nadmiar tematów, a co jeden to bardziej skomplikowany. Nie wiadomo, co wybrać. I do tego Trump, z ręcznym sterowaniem największą gospodarką świata. Jeśli podejmuję się zatem tego wyzwania, to od razu z zastrzeżeniami. To będzie subiektywne co do formy, tematu i treści. Dlatego zatytułowałem ten kącik „Subiektywnie o ekonomii”. A o moim nastawieniu (też subiektywnym) niech świadczy mój podpis.

Ekonomicznie Pozytywny (EP)

Rezerwy walutowe są podstawowym elementem polityki makroekonomicznej, zwłaszcza w krajach mniej rozwiniętych. Posiadanie rezerw umożliwia określone interwencje walutowe, które mają przyczynić się albo do dewaluacji waluty krajowej w stosunku do walut twardych, jeżeli chcemy stymulować gospodarkę, albo do rewaluacji, jeżeli naszym celem jest na przykład obniżenie inflacji. Tego typu instrument polityki makroekonomicznej jest szczególnie ważny w przypadku wystąpienia szoków podażowych. Wówczas, w przypadku nadmiernej deprecjacji waluty krajowej, bank centralny może ją skupić, wykorzystując przy tym zasób rezerw walutowych, co prowadzi do jej umocnienia. W ubiegłym roku mieliśmy do czynienia z kilkoma interwencjami NBP, który w ten sposób przeciwdziałał nadmiernej deprecjacji złotego, który, jak wiemy, podlegał dużym wahaniom.

Rezerwy walutowe spełniają również wiele innych funkcji. Bank centralny w przypadku kryzysu może wymienić waluty obce na walutę krajową i upłynnić sferę realną gospodarki, innymi słowy, „dodrukować” pieniądza na rynek. Rezerwy mogą być wykorzystywane również do spłaty długów lub finansowania importu. Rzadziej, można nimi sfinansować projekty państwa związane z infrastrukturą czy rozwojem określonego sektora gospodarki. Wreszcie, zasób rezerw walutowych może zwiększać zaufanie inwestorów. Kataklizmy, wojny i inne nieprzewi-

dziane okoliczności w danym kraju lub w jego obrębie mogą sprawiać, że inwestorzy będą chcieli jak najszybciej wyprzedać aktywa denominowane w walucie kraju obarczonego szokiem, kryzysem i tak dalej. Jednak utrzymywanie wysokiego poziomu rezerw sprawia, że bank centralny, po pierwsze ma narzędzia, aby ewentualnie wesprzeć gospodarkę, po drugie może przeciwdziałać deprecjacji (utracie wartości wyrażonej w spadku kursu wymiany wobec innych walut) krajowego pieniądza, a w krańcowych przypadkach zapobiec spekulacyjnym atakom na walutę krajową.

Rezerwami walutowymi zarządza bank centralny. W Polsce jest to Narodowy Bank Polski. Określa on niezbędną skalę rezerw oraz ich strukturę, czyli ile gotówki lub instrumentów pieniężnych, a ile papierów wartościowych w postaci obligacji rządowych lub innych banków centralnych. W Polsce dominujący udział mają dolar amerykański i euro (w sumie 61 proc. rezerw). Rezerwy walutowe obejmują także funt brytyjski (12 proc.), dolar kanadyjski (10 proc.) i dolar australijski (8 proc.).



Oddzielną pozycją jest złoto. Jego udział w całości rezerw banku centralnego określa się na mniej więcej 20%, ale nie jest to sztywny wskaźnik i podlega wahaniom w zależności od sytuacji globalnej, jak i uwarunkowań wewnętrznych kraju i pozycji jego pieniądza lokalnego. Zatem złoto jest „normalnym” składnikiem rezerw, spełniają-

cym cechy innych elementów. Czyli jest nośnikiem wartości o relatywnie stabilnej cenie, istnieje na nie rynek wtórny, czyli można bez większej zwłoki sprzedać je lub dokupić w zależności od bieżących potrzeb polityki pieniężnej. Nie jest też uzasadniony nadmierny udział w portfelu rezerw, bowiem obowiązuje tu zasada dywersyfikacji instrumentów. Zatem jeśli rezerwy składałyby się wyłącznie z samych sztab złota, to sytuacja ta, choć pozornie bardzo atrakcyjna, nie byłaby optymalna z punktu widzenia podstawowego celu rezerw, bowiem nie umożliwiałaby elastycznej i szybkiej interwencji banku centralnego w sytuacji większego zagrożenia waluty lokalnej. To dotyczy także sytuacji, gdyby w rezerwach były wyłącznie dolary albo tylko euro. Dywersyfikacja czyli zróżnicowanie w zakresie bezpiecznych i stabilnych wartościowo instrumentów tworzących rezerwy jest żelazną regułą przestrzeganą przez większość banków centralnych na świecie.

NBP opublikował dane o stanie oficjalnych aktywów rezerwowych. Wynika z nich, że na koniec kwietnia 2025 r. ich stan wyrażony w euro wyniósł 217,1 mld EUR, co oznacza 922 mld zł. Złoto w ilości 507 ton, wyceniane było na blisko 78 mld euro, czyli ok. 330 mld zł.

Podsumowując, rezerwy walutowe kraju są bardzo ważnym elementem jego systemu gospodarczego. Obok wspomnianej wyżej podstawowej funkcji stabilizacji i ochrony wartości pieniądza krajowego są elementem wpływającym na wizerunek kraju w świecie, jego reputa-

cję ekonomiczną. Oznacza to nie tylko wiarygodność kraju jako partnera gospodarczego, ale jest swoistą tarczą ochronną wobec ataków spekulantów lub nawet agresji gospodarczej o podłożu konkurencyjnym. Ich rola oczywiście niepomniernie wzrasta w sytuacji, gdy rośnie niepewność typu globalny kryzys gospodarczy i oczywiście kryzys polityczny doprowadzający do działań wojennych. Z oboma tymi czynnikami mamy obecnie do czynienia. Przedstawione wyżej liczby i informacje na temat rezerw walutowych Polski dają poczucie bezpieczeństwa.

Liczby urojone oczami dziecka lub humanisty

W październiku 2023 roku w „Życiu Seniora” pątrzyliśmy na całki oczami dziecka lub humanisty. Teraz nadszedł czas na liczby urojone, bo one, podobnie jak całki, są przydatne w życiu codziennym.

Wiadomo, że bez posiadania tej wiedzy można szczęśliwie przeżyć życie, znać doskonale historię, literaturę, różne style malarstwa... Ale czy nie warto chociaż na chwilę przenieść się w przedziwny świat matematyki, który zamyka w sobie prawa materialnego świata? A tego kroku nie sposób dokonać, nie posługując się liczbami urojonymi.

Jak wiemy, liczby urojone są na pozór absurdem, bo wyrażają pierwiastek drugiego stopnia z liczby ujemnej, ale o dziwo są niezbędne na poziomie dzisiejszej nauki. Liczby urojone wiążą się ściśle z matematyką, ale pojęcie to można przenieść do sfery naszego życia, podobnie jak pojęcie sprzężenia zwrotnego i efektu motyla, co rozpatrywaliśmy w listopadzie 2017 r. i w styczniu 2022 r. Na leży więc uważać, aby się nie zaplątać.

Według mnie, najbardziej trafnymi przykładami jest powstawanie obrazów pozornych i urojonych w zwierciadłach wklęsłych, gdy zmienia się odległość od ogniskowej. Warto się pobawić, uznając świat urojony, tak jak robią to uczniowie w szkole, przerabiając dział optyki. Fantastyczna zabawa, gdy ma się podstawową wiedzę i ogląda się swoją twarz w lusterku, robiąc poranny makijaż.

Pamiętam z głębokiej młodości western, na którym pokazano wędrowca mającego zwyczaj stawiać swój blaszany kubek na stole przed sobą, gdy siedział w tawernie tyłem do drzwi. Ten zwyczaj pozwolił mu zrobić unik przed ciosem od tyłu, bo widział napastnika odbitego na ścianie naczynia. Pozorny obraz, odwrócony, ale jakże okazał się przydatny.

Operator kierujący bojowym dronem śledzi jego lot, korzystając z obrazu na ekranie komputera i wydaje mu polecenia, a dron jest mu posłuszny. My też oglądamy swoją twarz w lustrze i drogę w lusterku wstecznym samochodu, czytamy ciekawe wymyślone historie napisane w książkach, oglądamy filmy.

Może te porównania zachęcą dziecko (i humanistę), aby doczytać ten tekst do końca.

Każdy z nas mógłby przywołać z pamięci wydarzenia ze swojego życia, gdy warto było najpierw ponieść stratę, mając nadzieję, że potem zyska się o wiele więcej.

Na przykład wybranie okężnej i na pozór trudniejszej drogi w terenie, gdy wędrując bez mapy, doświadczyło się, że prosta droga prowadzi na bezdroża. Mogło się też wydarzyć, że ktoś musiał się przeprowadzić, ale nie miał pieniędzy ani środka transportu. Ryzykując wiele, wziął pożyczkę, wynajął samochód, dokonał przeprowadzki, zarobił samochodem na spłatę, a na końcu oddał samochód do wypożyczalni.

Podobnych sytuacji może być tysiące. I tak ma się sprawa z liczbami urojonymi. One początkowo komplikują układ, ale są niezbędne. Na nich opiera się automatyka, optyka, telekomunikacja, chemia, medycyna...

Udzielając korepetycji z matematyki, uczeń miał za zadanie znaleźć niewiadomą x w równaniu trzeciego stopnia, nie znając sposobu, ale mógł posłużyć się metodą podstawiania. Nie było to zbyt trudne, bo - jak pamiętam - liczba 7 dawała właściwy wynik. Równania nie dało się przekształcić, więc zadanie polegało na cierpliwości i intuicji. Osoby, które znają matematykę na poziomie ponadpodstawowym wiedzą, że istnieją gotowe wzory do obliczania równań trzeciego stopnia, ale odkrył je dopiero w XVI wieku genialny włoski matematyk Scipione del Ferro. Aby rozwiązać ten problem, posłużył się liczbami urojonymi, które komplikowały układ, ale potem się kasowały i dawały prosty wynik w liczbach rzeczywistych. Bez wprowadzenia liczb urojonych nikt sobie wcześniej nie poradził.

AI potrafi analizować błyskawicznie wiele symulacji, podać wynik omawianego równania trzeciego stopnia momentalnie, ale wyprowadzić wzorów obejmujących całość - jak dotąd - nie potrafi.

Wirtualny świat jest niezwykle przydatny, bo pozwala na stwarzanie symulacji, czyli uniknięcia konsekwencji popełnianych błędów. W połączeniu ze sztuczną inteligencją stanowi niezwykle dar ze strony liczb urojonych. Lecz nawet



tak wielki dar użyty niewłaściwie może okazać się groźny dla człowieka. Na przykład w postaci zagubienia, uzależnienia od gier komputerowych, wyobcowania, pornografii...

Nic w tym dziwnego, że lepiej czujemy się w świecie rzeczywistym niż urojonym, bo przecież realnie istniejemy, ale przenosząc się myślowo w sferę filozofii, wiary, a nawet dziedziny fantastyczno-naukowej, można zauważyć, że dużą wagę przywiązuje się tam do istnienia świata niematerialnego, czyli duchowego, światów równoległych, rzeczywistości niewidzialnej. Światy te są ze sobą związane, bo częściowo się przenikają, a ich istnienie wiąże się z poruszonym tematem.

Wierzę w mądrość matematyki, która nie zna ograniczeń i wierzę w potężny Akt Twórczy. Dlatego nie można wykluczyć, że w przyszłości liczby urojone pomogą zajrzeć w ukryty obecnie przed nami świat.

Rozważając ten delikatny temat, namalowałem duży obraz 70 x 120 cm „Dziwne spotkanie”. Zainspirowała mnie też piosenka pt. „Taką Cię wyśniłem”, wykonana

pięknie przez zespół Akcent. Przytaczam krótki fragment tekstu.

*„Gdzie mam Ciebie szukać?
Czy istniejesz, któż to wie?”*

Na obrazie przedstawiłem mój ulubiony świat. Z pewnością wielu z nas siedziało w kręgu przy ognisku. Obecnie coraz trudniej znaleźć dzikie, czyste miejsce, gdzie można by odpocząć z dala od zgiełku. A jeśli to się zdarzy, to większość jest tak zapatrzona w swój realny świat, że nie czuje potrzeby, nawet na krótko, wyłączenia swoich komórek. Jednak jeden z młodych ludzi (na obrazie) dostrzegł piękną postać czekającą w oddali. On chyba wie, że jeśli nie wyjdzie jej naprzeciw, to nigdy się nie przekonana, czy jest realną dziewczyną, czy urojoną. Podobnie jest z liczbami urojonymi.

Życzę, aby osoby czytające ten tekst spotkały tego lata kogoś, kim się zachwycą.

Marek K-J

Grabarka, Mielnik, Kasztelik i Drohiczyn

Podlasie zyskało ostatnimi laty na popularności, głównie za sprawą migrantów. W ogóle tak zwana „ściana wschodnia” naszego kraju wyraźnie odróżnia się od reszty. Mam na myśli swoistość podlaskiej kultury, w tym spokojniejsze tempo życia, nieograniczone możliwości rozwoju turystyki, kulinaria oraz zredukowaną do poziomu „jak u

pana Boga za piecem” tęsknotę do zmian cywilizacyjnych zachodu. Krajobraz podlaski jaki był, taki jest i takim pozostanie. Oczywiście nie uogólniam tego odczucia na wszystkie miejsca i ich mieszkańców. Jednak jadąc przez ten region, tu odniesienie do okresu przedwyborczego, można było zauważyć plakaty wyborcze, w podobnej liczbie

każdego z kandydatów z różnych opcji politycznych. Mijane miejsca również różniły się od siebie skutecznością zagospodarowania, zauważalne były tablice informujące o źródłach pozyskania funduszy na projekt celowy z kasy Unii Europejskiej. Najczęściej chodziło o wyrównywanie szans biedniejszego wschodu z bogatszym zachodem.

Grabarka to miejsce kultowe, powstałe po cudzie uzdrowienia, po „morowym powietrzu” w końcu XVIII wieku. To najważniejsze miejsce pielgrzymowania dla wyznawców prawosławia. Święta Góra Grabarka, góra pokutna, na której jeży się od, przyniesionych przez pątników, różnej wielkości krzyży, najczęściej z wypisaną intencją na ich ramionach. Tam trzeba być choć raz w życiu. Pątnicy znajdują tu ukojenie, wzmocnienie, radość i pociechę. Cud uzdrowienia wspomagany jest wodą ze źródła tryskającego poniżej Świętej Góry. Źródło ma ciągle powodzenie wśród wiernych i turystów. Sklep z pamiątkami oferuje wiele dewocjonałów, książki i grafiki przedstawiające, już odbudowaną po pożarze, cerkiew p.w. Przemienienia Pańskiego. Obok znajduje się klasztor św. Marii i Marty, co tworzy zespół sakralny - monastyr. Całość zdaje się miejscem skromnym, ale ładnym, by nie powiedzieć uroczym. Nie widziałem tam przesadnego zbytku ani komercjalizacji kultu.



przystanku i czasu; także wejście na platformę widokową opłacało się, bo panorama na dolinę Bugu była wspaniałym doznaniem dla zmysłów. Lecz ogólnie czegoś mi tam brakowało. Może przejażdżka na rowerze dałaby mi inną, ciekawszą perspektywę oglądu tego miejsca, bo to, co mnie zaciękało, to jedynie ten odległy krajobraz z nitką



Mielnik mnie rozczerował, a to podobno była jedna z najbogatszych gmin w Polsce. Zarabiała na gazociągu z rosyjskich źródeł. Może i tak, ale inwestycji tam poczynionych to ja gołym okiem nie zauważyłem, a podobno reprezentacyjny park miejski uważany jest za pokazowy. Ja uważam go po prostu za kicz architektury zielonej. Owszem, punkt widokowy na kopalnię kredy był wart



rzeki. To tylko moje subiektywne wrażenia. Nikomu nie chcę tego miejsca obrzydzić, tym bardziej, że w okresie letnim Mielnik zaprasza na szereg imprez plenerowych, wśród których moje zainteresowanie wzbudziło sierpniowe spotkanie pn. „XXXIV Muzyczne Dialogi Nad Bugiem”. Wygląda to na solidną tradycję folklorystyczną prezentującą tamtejsze kultury etniczne, m.in. tatarską. Oferta dodatkowo wzbogacona jest o warsztaty i kiermasze rękodzielnicze. Myślę też, że to wydarzenie nie obędzie się bez kuchni regionalnej.

Kasztelik Perła Podlasia – to nie miejscowość, to nazwa prywatnej posiadłości pochodzącej od kasztelu, czyli dworu obronnego albo zamku warownego. Kaszte-

larii, w której prezentuje prace tkackie swojej uzdolnionej żony i równie uzdolnionej córki malarki. On sam ma dużą wiedzę w zakresie militariów. Pięknie o swoich



lik, nie kasztel, bo to mały zameczek zbudowany, a raczej budowany już 26 lat i - końca nie widać, bo wciąż nowe pomysły budowniczego i inspiracje gości nakręcają jego „rozmach” oraz przyległości. Właściciel, niezwykle człowiek, buduje go praktycznie sam z polnych kamieni. Jedynie betonowe elementy nośne korpusu zameczka wymagały siły pomocnika. O budowlance pisać nie umiem. Nie wiem, co jest istotne, dlatego skupię się na tym, co zobaczyłem wewnątrz i w otoczeniu. Budowniczy i gospodarz to człowiek niezwykle, pasjonat zbierania tego, co w tamtej okolicy można znaleźć w ziemi pod jej warstwą czy na powierzchni: a to biała broń, a to narzędzia rolnicze i rękodzielnicze itd. Wyraźna miłość do sztuki właściciela posiadłości przejawia się w utworzeniu





odejść, a wcześniej wejść na przedzamcze można dróżką wśród sosen zwaną, z inspiracji młodej damy, Alejką Miłości. Warto jeszcze dostać się na samą górę, na taras widokowy, z którego ponad koronami drzew rozciąga się panorama okolic Olendrów. To na gruntach tej właśnie wsi realizuje się życiowa pasja mieszkańca Siemiatycz pana Jerzego, którego zwyczajnie podziwiam za pasję i fantazję, no i pracowitość oczywiście.



zbiorach opowiada i pomysłowo je eksponuje. Ściana z toporami robi wrażenie. Sam kasztelik jest projektem właściciela. Architekci pomogli mu tylko przy obliczeniach wytrzymałościowych z zachowaniem norm budowlanych. Jak sam mówi, on tego projektu chyba nigdy nie skończy, bo szybko reaguje na płynące zewsząd sugestie, takie jak ta na przykład: skoro jest zamek, to smok też tu gdzieś powinien się znaleźć. A zatem jest już smocza jama i sam smok również. Zwłaszcza ku uciechu dzieci, chociaż dorośli bez fotki ze stworem stamtąd nie odchodzą. A

Drohiczyn od ponad trzech dekad jest – na mocy decyzji papieża Jana Pawła II – diecezją, zresztą najmniejszą w Polsce. I to mu chyba szkodzi. Widzę pewną analogię społeczną i finansową występującą w mniejszych miastach diecezjalnych, tych z nowego rozdania w 1992 roku, do których należy Drohiczyn. Analogia jest dość trudna do objaśnienia, ale spróbuję to zrobić. Może stanie się to jasne również dla tych, którzy tam nigdy nie zawitali i nie mieli okazji przyjrzeć się mieszkańcom oraz tym miasteczkom na przykładzie Drohiczyna. Z jednej strony nawet uroczych, z drugiej – podporządkowanych „diecezjalności”, która, zdaje się, narzuca wszelkim inicjatywom i potrzebom mieszkańców nieprzekraczalne granice. Diecezja narzuca takim miasteczkom charakter zaściankowości, określa sposób życia i bycia mieszkańcom – niby są oni u siebie, a w rzeczywistości na folwarku biskupim. Biskup diecezjalny, z siedzibą w małym miasteczku, wydaje mi się panem wszystkiego; bez niego, bez jego zdania, nawet śmiały wójt czy burmistrz nie podejmie żadnej istotnej decyzji. Żadne wydalenie świeckie nie może przysłonić sakralności tego miejsca. Nie bez kozery to mówię, gdyż w trakcie kampanii prezydenckiej, można było usłyszeć głos kobiety ze wschodniej części kraju: „najważniejsza jest wiara, a uczciwość jest daleko potem”. Ta kobieta, mając zupełnie odwrotną intencję, wyraziła jedną z prawd, jakimi kierują się „jedyni, prawdziwi katolicy”, obnażając przy tym mentalność bezmyślnych, acz krzykliwych i bezrefleksyjnych katolików: przynależąc gdziekolwiek do parafii katolickiej, usprawiedliwia się tym samym swoje czyny, a spowiedź je uniewinnia, zaciera, odsyła w zapomnienie, otwierając drogę do zbawienia. Moje wrażenie jest takie, że na tej prawdzie, reglamentującej drogę ku wieczności, opierają też swoje rządy biskupi diecezjalni. W praktyce, według moich obserwacji (przynaję, że niepogłębianych) i rozmów z bywalcami Drohiczyna, polegają one na tym, iż wierni mają nie skąpić grosza na zewnętrzny, jak i wewnętrzny wygląd pałacu biskupiego, a także na wygodę życia biskupiego kręgu. Wyraźnie widać, że otoczenie obiektów diecezjalnych wyróżnia się estetyką od pozostałej części miejscowości; tu niczego nie brakuje, poza skromnością, czyli dewizą schludnego ubóstwa. Dotacje państwowe też płynęły wartkim strumieniem, bo sami wierni nigdy nie podobałoby zachciankom kleru. Jak żyć w takim miasteczku? Ja bym nie mógł. Mówię to otwarcie. Nie mógłbym być stałym obywatelem bez dostępności do rytmu moich potrzeb, daleko sięgających poza ofertę, jaką widziałem we wtorkowe, majowe popołudnie w tym, skądinąd znakomicie zlokalizowanym little city. To jest miejsce i okolica wymarzone dla turystów, nawet usiłujące inwestować w taką infrastrukturę, ale nad pragnieniami ludzi mających jakąś perspektywę przedsiębiorczości wisi fatum owej



„diecezjalności”. To tak, jakby nie można było zrobić wyrazistego kroku naprzód. Łatwiej stamtąd uciec niż tam żyć. Kiedy zatem siedziałem w parku, w otoczeniu dwóch kościołów, knajpy, lodziarni, muzeum diecezjalnego i nie-szczęśliwego drzewostanu, to w ciągu godziny przez ten park przeszły tylko dwie osoby: ksiądz z brewiarzem i kobieta z różańcem w rękę, by odbyć swoją popołudniową modlitwę. Od razu zastrzegam, że to nic, co bym potępiał. Ale gdzie ci mieszkańcy? Nie w domu kultury przecież, bo akurat nieczynny. Otwarte dwie knajpki, ale tam też pusto, czyżby zbyt drogo? Zapewne dopiero w weekend miasto ożyje gwarem tutejszych i przyjezdnych, gdyż będą festyny z okazji jakichś dni, nie pamiętam już jakich. Niestety z programu nie wynika nic potężnego kulturalnie, nic wartościowego dla wzbogacenia intelektualnego, raczej jarmark, jakich wiele z występem rodzimych śpiewaczek. No i jak tu żyć, rozwijać się, z kim pogadać? W sezonie letnim miasto nieco zyskuje, bowiem zaglądają tu często zorganizowane grupy turystów motocyklowych, a od Bugu przystają kajakarze i grupy wędrujących. Robią masę zdjęć Skarpy Drohiczyńskiej w zachodzącym słońcu, które ekspozuje wieżę katedry diecezjalnej. Na lato zjeżdżają do Drohiczyna letnicy do swoich dacz, wnosząc sporo kolorytu i aktywności w codzienność. Dla nich otwierane są sezonowe obiekty, czasem trafi się ciekawy koncert, ciekawa postać (Daniel Olbrychski z towarzystwem), ale chłodne noce końca sierpnia i wcześniejszy zmierzch wyganiają ich do swoich miast, coraz częściej do Warszawy. W swoim smutku pozostaną barokowe kościoły, cerkiew i przełom Bugu. A szkoda, bo ja w tym miasteczku widzę olbrzymie możliwości, może nie na miarę Kazimierza Dolnego, ale wolnymi krokami, kto wie, dokąd się zajdzie, nawet w okolicznościach „stylu diecezjalnego”, bo każde warunki ograniczające można zmniejszać. Trzeba by tam zainstalować artystów i pozwolić im budować nowy klimat kulturowy. Zainwestować w kulturę, noclegi dla turystów pielgrzymów, ogrzać miasto poza sezonem letnim i pokazać jego świecką twarz. Jestem pewien, że nie mniej interesującą niż diecezjalna. To może być korzyść obustronna. Kiedy żegnałem się z parkiem drohiczyńskim, pojawił się w nim starszy pan z psem na smyczy, patrzył przyjaźnie w moją stronę, może chciał porozmawiać, na co nawet miałem ochotę. Mogłem go zagadnąć i bezpośrednio od autochtona pozyskać informacje oraz wzbogacić, może zweryfikować, swoje spostrzeżenia, ale do tego nie doszło. Skinęliśmy tylko sobie głowami, czas uciekał, trzeba było odjeżdżać. Odjechałem z postanowieniem, że wrócę tam jeszcze w lecie, może na Dni Drohiczyna, i na nowo spojrzę na tę potencjalnie turystyczną perłę Podlasia. A że nie dałem żadnej ilustracji z tego miasteczka... wolę, żeby czytelnicy sami tam zajrzeli i swoimi oczyma ocenili to, co ujrzą. /jo/

Wydawca: Natoliński Ośrodek Kultury – Klub Seniora „Wrzos”.

Adres redakcji: Natoliński Ośrodek Kultury, 02-791 Warszawa, Belgradzka 52, tel. 22 520 04 84, program@nok.art.pl

Redakcja: Redaktor naczelny - Janusz Olczyk, Stali współpracownicy: Marek Kalerński, Elżbieta Groszek, Zbyszek Kubik.

Redakcja techniczna: OLPI. Druk kserograficzny: NOK.

CZYTAJ NAS W INTERNECIE – www.nok.art.pl/tematyprzypadne

Do użytku wewnętrznego.